

# NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 34

Katowice, 28-go sierpnia

1932

## Na niedzielę piętnastą po Świątkach

EWANGELJA

zapisana u św. Łukasza w rozdz. 7, w. 11—16.

W on czas: Wybrał się Jezus do miasteczka, zwanego Naim, i szli z Nim uczniowie Jego i mnoga rzesza. Gdy zaś zbliżał się do bramy miasteczka, oto wynoszono zmarłego, jedynaka pewnej matki, która była wdową; a rzesza z miasteczka szła z nią w wielkiej liczbie. A widząc ją Pan, ulitował się nad nią i rzekł do niej: Nie płacz! I przystąpiwszy, dotknął się mar, a ci, co nieśli, stanęli. Wtedy rzekł: Młodzieńcze, rozkazuję ci: wstań! A zmarły siadł i zaczął mówić. I oddał go matce jego. A wszystkich przejął strach i chwalił Boga, mówiąc: Wielki prorok powstał wśród nas, a Bóg łaskawie wejrzał na lud swój.

NAUKA.

Memento Mori!

Młodzieniec z Naim, którego na marach wynoszą z miasta na cmentarz, oto obraz losu, jaki czeka nas wszystkich. Ostatnia godzina życia naszego, to chwila niewymownie twarda i przykra. Wśród bólów konania trzeba będzie wtenczas opuścić wszystko, co nam drogie w tem życiu, i stać przed Sądem Bożym. Rzecz zrozumiała, że wielu ludzi, mianowicie w życiu grzesznem pogrążonych, niechętnie myśli o śmierci i unika skwapliwie każdego spotkania się z jej objawami. Prawy chrześcijanin nie boi się śmierci, spokojnie spogląda jej w oczy, pomny słów Księgi Mądrości (41, 3): „Dobry jest, o śmierci, sąd twój“. Nic bowiem nie zdoła tak zbawiennie podziałać na nas, jak szczerze rozważanie ostatecznych rzeczy naszych.

„Postanowiono człowiekowi raz umrzeć“ (Żyd. 9, 27), oto wyrok Boży, który z nieubłagana ścisłością wykonuje się nad wszystkimi ludźmi bez wyjątku. Wykupić się od śmierci nikt nie może, za żadne bogactwa świata nawet. Prędzej czy

później zatem śmierć dosięgnie każdego z nas, a na zew jej opuścić będziemy musieli świat doczesny. Prawdę tę potwierdza nam doświadczenie codzienne. Obok każdego miasta żywych znajdujemy miasto umarłych: cmentarz; a droga do niego dobrze wydeptana! Ilekroć z gazety wyczytujemy o zgonie człowieka znajomego, ilekroć towarzyszymy zmarłemu na ostatniej jego drodze, ilekroć spoglądamy na mogiły cmentarne, tylekroć, jeżeli nie jesteśmy bezmyślni, powiedziec sobie musimy: przyjdzie kreska i na mnie, Matyska.

Chociaż śmierć czeka nas niechybnie, jednak nie wiemy, kiedy, gdzie i w jaki sposób zmiecie ona nas z tego świata.

Przestrzega Zbawiciel (Mat. 25, 13): „Módlcie się i czuwajcie, bo nie wiecie ani dnia ani godziny“. Możliwe, że drzewo do trumny twojej jeszcze rośnie w lesie, ale możliwe też, że trumna twoja już czeka gotowa na ciebie. Nie możesz tłumaczyć się młodym wiekiem, bo mówi przysłowie, że starzy młszą, a młodzi mogą umierać.

Niema też miejsca na świecie, do którego mógłbyś uciec się przed śmiercią. Może cię ona dosięgnąć wszędzie: w domu, na ulicy, w kościele, w podróży, w czasie zabawy i w chwili grzechu.

Nie wiesz wreszcie, jak umrzesz. Czy śmierć zapowie się poprzednio chorobą, czy też przyjdzie nagle, czy zastanie ciebie gotowego lub nie, wszystko to dziś zasłonięte jest przed tobą.

Jest to jednak rzeczą doświadczoną niejednokrotnie, że śmierć zazwyczaj przychodzi wtenczas, gdy człowiek jej się najmniej spodziewa. Dlatego też przestrzega Zbawiciel (Łuk. 12, 40): „Bądźcie gotowi, bo Syn Człowieczy przyjdzie o godzinie, kiedy się Go nie spodziewacie“.

Jeżeli Boski Zbawiciel w niezbadanych swoich wyrokach zakrył przed nami okoliczności śmierci naszej, to uczynił to w tym celu, abyśmy zawsze byli gotowi umierać bogobożnie. „Błogosławieni, których Pan, gdy przyjdzie, zastanie czuwających“. Amen.

## Legenda o św. Krzyżu.

Dziewięćset trzydzieści lat dźwigał już Adam na swoich barkach. Bezsilny wskutek wieku i pracy, czuwał każdego dnia ciężkie słowa Pana: „W pocie czoła będziesz pracował na kawałek chleba, aż powrócisz do ziemi, z której jesteś wzięty“. Rzucony wreszcie na łożo boleści, przywołał do siebie syna swego, Seta i rzekł do niego: „Mój synu, zdaje mi się, że już cię opuszczę, czuję zbliżającą się śmierć; muszę się jej poddać, gdyż jest ona owocem grzechu. Widziałem już umierającego Abła, a teraz zbliża się godzina, w której zobaczysz mnie umierającego“.

Syn jego Set zalewał się gorzkimi łzami. „Mój ojczec“, mówił on, „ty nie umrzesz. Z pewnością w świecie znajduje się gdzieś roślina, która cię uzdrowi. Pójdę ją szukać, a gdziekolwiek była, znajdę ją, chociażbym miał pójść nawet do tego raj, o którym tyle pięknych rzeczy opowiadałeś mi i gdzie rosną piękne drzewa życia. Tak jest, pójdę do raj, by się zapewnić, czy nie rośnie tam roślina przeciw śmierci...“

— Ależ, mój synu — mówi na to Adam — czyż mógłbyś dostać się do raj, z którego wygnał mnie Pan w gniewie swoim? Gdyby ci się nawet udało znaleźć doń drogę, wiesz dobrze, że bramy raj strzeże anioł z ognistym mieczem.

— Niech tam — zauważył Set — niech tam stoi anioł z ognistym mieczem; zmiekcze go memi prośbami. Bądź zdrow, Ojcie! Niech błogosławieństwo twoje towarzyszy mi... Idę, ale powrócę z zieleń, które cię napowrót uzdrowi.

Adam pobłogosławił Seta. Uczuł jednak w sercu, że krew zaczyna mu stygnąć.

Tymczasem Set wyruszył z domu. Przeszedł całą ziemię szukając drzewa życia, i przyszedł wreszcie pewnego dnia znużony wprawdzie, ale pełen nadziei do bram raj. Zatrzymał go tu jednak Cherubin z ognistym mieczem głosem: — Wróć się! czego tu szukasz? bramy tej nie może już żadna ludzka moga przekroczyć!

— A, — odparł podróżny — jestem synem Adama, biednym Setem, ojciec mój chory, zapewne bliski już śmierci. Chcę zobaczyć, czy nie kazał Pan rość w raj roślinie przeciw śmierci.

— Wróć się, mój synu — rzekł mu na to Cherubin — wróć się. Zapóźno już szukasz zbawczej rośliny, ojciec twój oddawna już zmarł... Mimo to mogę coś jednak dla ciebie zrobić. Dam ci gałąź drzewa życia; zasadź ją na grobie twego ojca; choć już Adam leży w łonie ziemi, pozna siłę tej gałęzi i dozna pociechy.

Set wziął gałąź. W sercu żywił on jeszcze nadzieję wracając do domu. Przyszedłszy z gałęzią do domku ojcowskiego znalazł go pustym. Oddawna leżał już Adam w ziemi. Szukając go wszędzie na próżno, przypomniały mu się słowa anioła; z gałęzią w ręce począł szukać mogiły ojca. Mały wzgórek zarosły zieleń wskazał mu miejsce spoczynku ojca. Na nim też zasadził gałąź, która nawet w głębi ziemi leżącemu Adamowi miała przynieść pociechę. Gałąź puściła korzenie w ziemi, pokrywającej resztki pierwszego człowieka. Wyrastała pod promieniami słońca. Gałąź wyrosła w drzewo, które najprzód otaczające krzaki a następnie drzewa inne w otaczającym lesie koroną swoją przerosło. Rosło coraz wyżej, tak że wkrótce przerosło wszystkie drzewa w kraju. A gdy doszło do zupełnego rozkwitu, rozpostarło szeroko gałęzie rzucając cień na grób pierwszego ojca i całego pokolenia.

Drzewo rosło dalej. Rosa niebieska odświeżała co noc jego zielone liście; w zbitych koronach znajdowało ptactwo ochronę przed burzami; korzenie tegoż pokryła zielona murawa, ubarwiona rozlicznymi przeróżnej barwy kwiatami. Kwiaty drzewa dostarczały w lecie soku pszczołom i motyloom, a na wiosnę między konarami rozlegał się świergot rozmaitych ptaków.

W czasie, gdy drzewo coraz bardziej się rozrastało, ludzie chyliłi się ku złemu i przewrotności. W zarozumiałości swej, sztydziłi sobie z drzewa, chociaż użyzczało im cienia i bawiło swą pięknoscia ich oczy.

Gdy już przebrała się miara grzechów ludzkich rozkazał Pan wszystko zalać potopem. Wody zakryły ziemię, a ludzie i zwierzęta znalazły w niej śmierć. Drzewo jednak nie zginęło. Gdy już wody poczęły opadać, gołębica wypuszczona z arki Noego, przyniosła gałązkę tego drzewa jako znak pojednania. Później mną gałąź tegoż służyła Mojżeszowi za laskę. Tą to laską uderzył on w skałę i wypłynęła woda; a wodą tą ugasili Izraelici pragnienie.

Pierwsza ta kara nie poprawiła jednak ludzi. Zazdrośni dla piękności, a jeszcze bardziej zazdrośni, że tak jest stare, przyłożyli siekiery do jego korzeni. I zrabali go, jakby to było takie drzewo, jak inne. Potem olbrzymi pień włoczyli po drogach, chcąc go sprzedać najwięcej dającemu. Nikt jednak nie chciał kupić. Obciosali więc pień siekierami na graniasto i położyli go nad potokiem w górach, i służył odtąd za most.

Wiele tysięcy lat chodzono po tym moście, a nikomu nie przyszło na myśl zapytać się, z jakiego drzewa zrobiono go. A jednak, każdy, ktokolwiek przeszedł przezeń, ścigało się mu niejako serce, a uśmiech odlatywał o niego na całe życie. Mimo tego jednak, że prawie każdy doświadczył tego, w pogardliwy sposób odzywano się o moście z wielkiego drzewa.

Tylko jedna osoba stanowiła wyjątek. Niegdyś, gdy królowa Saba ciągnęła z wielkimi podarunkami, by złożyć hołd królowi Salomonowi, zatrzymała się, przybywszy do mostu. Nie chciała stanąć nogą na moście rzuconym ponad górskim potokiem. Długo trwała w niemem podziwieniu. Poznała pochodzenie tego tajemniczego drzewa. Zobaczyła w duchu, że kiedyś na tem drzewie zawisnie Zbawienie świata. Uklękła i długo uwielbiała drzewo wyrosłe z gałęzi, którą anioł dał niegdyś Setowi. Przeszła następnie potok w bród. Wolęła raczej przejść po błocie i zawałać szlaki swej złotej sukni, niż stanąć nogą na świętem drzewie.

Salomon uwierzył słowom Saby, a budując w tym czasie świątynię, rozkazał kładkę użyć na słup w teje świątyni. Nigdzie jednak nie można było pnia tego przystosować; gdziekolwiek chciano go postawić, był albo za długi albo za krótki. Postanowiono go uciąć, ale nagle tak zmalął, że odstąpiło od powziętego zamiaru. Po wszystkich tych próbach, rozkazał król Salomon odnieść drzewa tam, skąd je wzięto.

Salomon popadł w bałwochwalstwo, a otoczenie jego dosłownie starało się przewyższać jeden drugiego w grzechach i występkach. Pewnego dnia ogłosił Pan burzę i grzmotami, że nadeszła godzina jego gniewu. Rzeki wylały, woda zabrała plony, a wszystkie pola urodzajne w jednej chwili zmieniły się w jeziora i bagna. Brzegi potoku, połączone drzewem, zapadły się, a razem z nimi pień.

Gdy znów po upływie kilku setek lat opadła woda, pływało drzewo tu i tam po polach. Wreszcie pozostało na jednym miejscu, w mule, właśnie w tem miejscu, w którym później wykopano sadzawkę Betsajda. Wykopane drzewo porzucono obok. Nie należy też więc tylko samemu aniołowi przypisywać poruszanie wody i zbawcze jej skutki dla chorych; siła drzewa miała także w tem udział.

Nie myślano jednak o tem, a nawet zapomniano, że drzewo to znalezione w sadzawce. Mówiono tylko o drzewie, które niegdyś służyło za kładkę, a opowieść ta przechodziła z ust do ust z jednego pokolenia do drugiego; nie myślano jednak, gdzie wreszcie znajduje się to drzewo.

Gdy wreszcie według postanowienia Wiekuistego wypełniły się czasy, a w tej pamiętnej nocy, której ciemność zasłoniła śmiertelną twogę Chrystusa, w której to nocy nieprzyjaciele wyciągnęli nań ręce, wtedy dopiero przypomniano sobie, jakby przez sen, o drzewie, leżącym w sadzawce. I zdawało im się, że to drzewo zbezczeszczone

zbrodniami ludzkimi, namokłe w wodzie, daleko będzie cięższe, niż jakiegokolwiek inne. Z wielkim mozolem wydobyto je, zrobiono z niego krzyż, i włożono na barki Jezusa. Gdy ze swymi katami doszedł na górę Golgotę, zakopano podstawę krzyża głęboko w ziemię. Miejsce jednak, na którym miało się spełnić męczeństwo, było to samo, w którym przed wielu tysiącami lat zakopano zwłoki Adama. Gdy kopano otwór, natrafiono na jego kości. Wszystkie się rozsypały, tylko jedna czaszka potoczyła się do podstawy krzyża, a pierwsze krople krwi, wylane ku zbawieniu świata, spadły na nią.

Wśród gwałtownego trzęsienia ziemi i całej rody oddał Chrystus Ducha. Niebo i ziemia drżały.

Kilka znowu wieków pozostawało szlachetne dzieło męki Chrystusowej w zapomnieniu, zasypane ziemią na górze Kalwarji, a pogaństwo okropnie w tych czasach rozwielnione, postawiło w tem miejscu świątynię Wenerze. Kiedy jednak Konstantynowi we wizji ukazał się krzyż jako znak panowania nad światem, chciał krzyż, na którym dokonało się zbawienie, należycie uczcić. Postanowił na górze Kalwarji wybudować świątynię. Pobożna jego matka Helena, licząca podówczas 80 lat życia, przedsięwzięła pielgrzymkę do Jeruzalem. Zamyślała ona odnaleźć drzewo, na którym przelała się krew Zbawiciela, a dowypelnienia tego zamysłu przygotowywała się modlitwami i pomocą świętego Makarjusza, biskupa.

Świątynię Wenerę zburzono do fundamentów, a gdy poczęto głębiej kopać w skale, znaleziono kryptę z krzyżem. W krypcie tej były trzy krzyże, gwoździe i tablica, na której Piłat kazał wypisać, według swego mniemania, szyderyczy tytuł. Jakkolwiek deszczulka ta przylegała lepiej do jednego krzyża, aniżeli do dwóch innych, mimo to cesarzowa i św. biskup nie uznali w zupełności tego znaku na potwierdzenie prawdziwości przedmiotu z taką skrupulatnością poszukiwanego. Makarjusz błagał Pana Boga o pewniejszy znak, któryby rozwiął wszelkie wątpliwości. I rzeczywiście wyblągał nieomylną wskazówkę na potwierdzenie prawdziwości św. drzewa, skropionego zbawczą krwią.

Podówczas żyła w Jeruzalem znakomita matrona, która niebezpiecznie zachorowała; nikt nie spodziewał się, by wyzdrowiała; bliska już była śmierci. Biskup rozkazał ją przynieść, i w obecności cesarzowej, księży i tłumu ludu rozkazał jej po kolei dotykać się pojedynczo każdego z krzyży, znalezionych w krypcie. Dwa pierwsze nie zrobiły żadnego skutku; ale zaledwie dotknęła się trzeciego, podniosła się, była uzdrowiona.

Prawdziwy krzyż od tej chwili wystawiono, dla adoracji ludu. Wkrótce potem posłała cesarzowa część krzyża i gwoździe swemu synowi. Większą część zamkniętą w relikwiarzu z kutego srebra, oddała Makarjuszowi, dla przechowania potomności.

Wkrótce poczęli książęta i królowie troskliwie starać się o mały nawet kawałeczek świętego Drzewa. Odszcypywano trzaski z tegoż, by niemi wzbogacić najznakomitsze kościoły chrześcijańskiego świata. Najznakomitsi złotnicy sporządzali relikwjarze ze złota i srebra, zdobili je perłami i drogiemi kamieniami, i nie było na ziemi materiału tak kosztownego, by tej trzaseczce służyć za oprawę. Nawet korony cesarzy i króli służyły za

relikwjarze, a powszechnie sądzono, że ta trzaseczka z krzyża utwierdza ich władzę, a tym, którzy ją nosili, wlewa w serce sprawiedliwość, moc i roztropność, mając to na oku, że nawet największy władca na ziemi jest tylko wasalem króla król w niebie.

Przyjdzie jednak dzień, w którym wszystkie relikwjarze, zawierające trzaseczki z krzyża znikną. Najdroższe nawet metale, najstaranniejszą pracą ręki ludzkiej zniszczy płomień wiecznej sprawiedliwości. Wszystkie jednak cząstki złączą się na powrót w krzyż i będzie można widzieć, jak w triumfie niesionym będzie przez anioła i w promieniach słońca błyszczyć będzie w dniu ostatecznym.

A w cieniu tego świętego znaku zbawienia powołani zostaną ludzie przed boski sąd i usłyszają wyrok, rozsądający o ich wieczność.

## Piotr Szapary

W roku 1541 wkroczyli Turcy z wielką siłą do Węgier. Na odparcie ich wyruszył z wojskiem Piotr Szapary, ale po bardzo krwawej bitwie został rozbity i do niewoli wzięty.

Hamra-beg, dowódca turecki, kazał przywołać do siebie Szaparego, bo znając jego waleczność chciał się nacieszyć widokiem pokonanego nieprzyjaciela. Szapary, choć w kajdanach, wszedł śmiało do namiotu Turka, nie uchyliwszy nawet głowy.

„Dlaczego nie oddajesz mi czci“, zawołał rozgniewany Hamra-beg, „jaka mi się od ciebie przynależy? Dlaczego nie uderzasz czołem przed podnóżkiem mego majestatu?“

„Cześć taka należy się tylko Bogu“, odrzekł Szapary, „a tyś poganin“.

Hamra-beg uderzył w twarz Szaparego. Piotr zachwiał się, zaczerwienił z doznanej zniewagi, ale prędko się uspokoił i rzekł z pokorą:

„Z woli Bożej zostałeś moim panem, z pokorą więc przyjmuję wszystko, co mnie dotyka“.

Hamra-beg kopnął go nogą, plunął w twarz, obsypał złorzeczeń tysiącem, nazwał psem nikczemnym, ale nie mógł Szaparego rozgniewać. Wreszcie zmęczony prześladowaniem, rzekł do niego łagodniej:

„Szapary! jesteś mężnym wojownikiem, na moją prośbę Sułtan, pan mój, obdarzy cię wolnością, zrobi dowódcą w swoim wojsku, obsypie złotem i zaszczytami, ale zostań wyznawcą proroka“.

„Nie!“ odrzekł Szapary, „oddam życie, gdy taka będzie wola Boga, ale nie wyrzeknę się czci, jaka Mu się odemnie przynależy“.

„A więc zostań niewolnikiem“, wrzasnął rozwiścieczony Hamra-beg, „bądź bydłem i orz moje pole razem z bydłem“.

Zaprężono więc Szaparego do pługa razem z wołem i poganiano go biczem, gdy mdlał z utrudzenia. Znosił to wszystko pokonany wojownik bez szemrania, prosząc tylko Boga o męstwo i wytrwałość. Po wielu wreszcie latach udało mu się wydobyć na wolność. Stał na czele wojska, pobił Hamra-bega i ujął go w niewolę. Kiedy Turczyn

dowiedział się, w czyje popadł ręce, zbladł z przerażenia i tarzając się po ziemi, wołał z rozpaczą:

„Biada mi, biada meszczęśliwemu. Zemsta będzie straszna, bom na nią zasłużył. Biada mi!”

Inni więźniowie tureccy poddawali się rozpacz, gdyż sądzili bardzo słusznie, że Szapary zechce zapewne nie tylko zemścić się na ich dowódcy, ale i na nich. Byli więc pewni, że albo ich smażycie będzie żywcem w oleju, albo zedrze z nich skórę, albo wreszcie poda im jakie straszne tortury.

Szapary kazał przywołać Turczyzna.

„Hamra-begu”, rzekł do niego, „gdy byłem twoim niewolnikiem, policzkowałeś mnie, kopaleś, plwaleś, znieważałeś i kazałeś wreszcie orać pole razem z bydłem. Powiedz, co mam robić z tobą za krzywdę, jaką mi wyrządziłeś?”

„Zabij mnie, tylko prędko, bez mąk”, odrzekł Turczyzn, „a wyrządzisz mi łaskę, jakiej się nawet nie spodziewam”.

„Nie. Hama-begu”, odezwał się Szapary, „mścić się w ten sposób może tylko poganin, nieoświecony światłem wiary ewangelicznej i ty nim jesteś. Dla chrześcijanina to nie wystarcza, jemu trzeba zemsty takiej, do jakiej poganin nie jest zdolny. Powiedz więc, co mam zrobić z tobą?”

Hamra-beg zadrżał, ugięły się pod nim kolana i zawołał zrozpaczonym głosem:

„Panie! Łaski dla twego niewolnika. Utnij mi więc rękę, co cię znieważyla, wyrwij język, co cię oplwala, ale nie męcz długo... miej litość”.

„To mało”, odrzekł Szapary, „to nie zemsta chrześcijanina”.

Hamra-beg rzucił się na ziemię i z jękiem tarzając się po niej, obsypując się pyłem.

Szapary na ten widok pokiwał głową z politowaniem i rzekł krótko:

„Hamra-begu, jesteś wolny, wszystko ci zapominam i przebaczam, abys poznał, jaka to zemsta chrześcijanina”.

I nie czekając odpowiedzi, wyszedł, a Turczyzn wodząc dokoła oczyma, sam siebie pytał, czy to sen, czy rzeczywistość? Zdawało mu się, że to igraszka, że dopiero teraz zacznie się kara, na którą zasłużył. Nie przypuszczał, aby ktoś za tak wielkie zło, jakie popełnił, miał mu dawać tak wielkie dobro, jakim jest wolność. Kiedy nareszcie został wolnym, stanął przed Szaparym i rzekł:

„Panie, kto cię nauczył tak wielkiej cnoty przebaczenia swemu prześladowcy?”

„Syn Boży, Jezus Chrystus, Zbawiciel świata”.

„To zróbże mnie Jego sługą i wyznawcą. Dotąd tylko tepilem ludzi mieczem, nauczże mnie ich kochać”.

W rok potem Hamra-beg, już jako chrześcijanin modlił się w przybytku Bożym i bijąc się w piersi, mówił rozrzewniony:

„Byłem ciemny w rozumie, oświeciłeś mnie Panie, byłem sercem, jak zwierzę dziki, dziś mieszka w niem miłość i pokora; byłem trwożny, jak podróżny, zbłąkany w puszczy, dziś z ufnością spoglądam w niebo, bo wierzę w prawdziwego Boga. Bądź więc pochwalon Panie na wieki wieków”.

## Dopust Boży.

Przed kilku laty umarł w Sewilli w Hiszpanii pewien Franciszkanin, bardzo pobożny, z znakomitej i bogatej pochodzący rodziny, który tylko z poświęcenia i chęci spędzenia życia w ubóstwie przyjął zakonną sukienkę. Przyszedł on do Sewilli za panowania pobożnego króla Ferdynanda VII, piastującego berło hiszpańskie od 1813—30, który pozwoił zakonnikom zająć dawniejsze ich klasztory. Epizod z życia owego Franciszkanina, jaki tu opowiedzieć zamierzamy, przekona czytelnika, jak myśli antyreligijne nawet pod panowaniem tak pobożnego monarchy w społeczeństwie nurtowały; przekona on jednak i o tem, że Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy i bluźnierców srogo karze.

Kilku młodych ludzi, należących do owej partji „bez wiary”, a więc nie cierpiących z całego serca zakonników, postanowiło zażartować z owego Franciszkanina, uważając go za świętoszka i ciemnego fanatyka i zabawić się jego kosztem.

Najbezpieczniejszy z nich wpadł na pomysł zmyślenia choroby; towarzysze mieli posłać po Franciszkanina, by przyszedł do chorego, a on chciał na jego napomnienia dawać takie lekceważące odpowiedzi, aby mnich poznał, w jakim celu go do chorego zawołano. Do wykonania tego złośliwego planu wybrali sobie noc burzliwą, by tem więcej dokuczyć zakonnikowi; burza srożyła się na dworze, deszcz lał jak z cebra, gdy do furtki klasztornej zapukali owe niedowiarki, prosząc z udanym smutkiem o ostatnią pomoc duchową dla chorego przyjaciela.

Furtjan doniósł o tem Franciszkaninowi, który niezwłocznie udał się z nimi. Złościcy ci prowadząc go z umysłu po brudnych i błotnistych ulicach miasta, doszli wreszcie do miejsca przeznaczenia tej bezecnej komedji, do niskiej i brudnej chaty, gdzie na łóżku leżał ów mniemany chory i jęczał. Towarzysze zostali za drzwiami, czekając, aż czas przyjdzie wysmiać się z mnicha; ksiądz tymczasem wszedł do izby, by słuchać spowiedzi chorego. Trwało to dość długo, a towarzyszom za drzwiami, stojącym na deszczu, nudzić się zaczynało i różne dowcipne niby, a bluźniercze robili uwagi, gdy wtem otworzyły się drzwi a w nich ukazał się Franciszkanin.

„Jak się tam chory miewa?”, zapytali z ironicznym uśmiechem czekający”.

„Chory umarł!”, odrzekł na to zakonnik z powagą.

„Co? umarł?”, zawołali, kłamiesz, Ojciec Franciszkaninie, albo żartujesz z nas?”

Sługa Boży spojrział na nich zdziwiony i odrzekł:

„Ani jedno, ani drugie, moi panowie; jakże możecie się dziwić śmierci waszego przyjaciela, kiedyście na to przygotowani być musieli, wołając mnie, bym mu w ostatniej godzinie stał przy boku? Zastałem go konającego, a w tej chwili ducha wyzionął”.

Przestraszeni towarzysze bluźniercy udali się do izby, sądząc, że mnich z nich żartuje. Ale straszny widok uderzył ich oczy: nieruchomie spoczywał przyjaciel ich na łóżku, członki już stygły, a do twarzy bladej przyglądał wyraz przestraszenia nieopisanego.

Tak tedy przez karę Bożą skończył człowiek, którego życie płynęło tylko w grzechu i było nieprzerwanym szeregiem złego.